

Spotkanie przed *Burzą*

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

***Los Mimos* nie wyznacza kierunku** przyszłej pracy teatru, jak też nie służy za próbkę jego odnowionego języka. Wrocławskim mimom chodziło przede wszystkim o samo spotkanie. O zrobienie czegoś wspólnie wbrew niezbyt sprzyjającym warunkom pandemicznym.

■ Ogród okalający siedzibę Wrocławskiego Teatru Pantomimy przy alei Dębowej jest do prawdy piękny. Może nie tak tajemniczy, jak ten ze sławnej książki Frances Burnett, i raczej nie rajski, ponieważ dolatuje do nas wyjątkowo ziemski uliczny zgiew, lecz z pewnością niepozbawiony bajecznego uroku. Trudno uwierzyć, że zespół dotychczas nie zapraszał tutaj swoich widzów. W poprzednich latach najczęściej korzystał, jak się wydaje, ze Sceny na Świebodzkim Teatru Polskiego. Na jej deskach miały premiery takie spektakle jak *Bachantki* według Eurypidesa czy inspirowany opowiadaniem Rolanda Topora *Café Panique*. Niedługo to się zmieni. Na uruchomienie niewielkiej sceny w wymagającej remontu willi co prawda trzeba będzie jeszcze poczekać, ale współpracę z Instytutem Grotowskiego rozpoczęto już teraz. Dzięki niej następny spektakl teatru zobaczymy w przestronnym Centrum Sztuk Performatywnych Piekarnia. Jednak nie tylko to nadaje ekskluzywności dosłownie kilku wrześnieowym pokazom *Los Mimos*. Pierwsze przedstawienie zespołu po pandemii stało się również pierwszym tytułem zrealizowanym przez duumwirat Leszka Bzdyla i Olgi Nowakowskiej. Nowego dyrektora artystycznego i dyrektorki naczelnej, którzy objęli swoje stanowiska akurat w przededniu powszechnego lockdownu.

I tu wypadałoby poczynić kilka uwag wstępnych. Przede wszystkim należy podkreślić, że *Los Mimos* nie jest dziełem, które ma wyzna-

czyć kierunek przyszłej pracy teatru, czy też które ma służyć za próbkę jego odnowionego języka. Najnowsze przedstawienie jest kreacją zbiorową osiemnastoosobowego zespołu aktorskiego i współtwórcy Teatru Dada von Bzdülów, który niegdyś zaczynał karierę pod kierownictwem Henryka Tomaszewskiego. W *Los Mimos* Bzdyl ograniczył się do skromnej roli opiekuna artystycznego. Nie bez powodu też tłumaczył, że wrocławskim mimom chodziło przede wszystkim o samo spotkanie. O zrobienie czegoś wspólnie wbrew niezbyt sprzyjającym warunkom pandemicznym. Wreszcie o nietypową inaugurację sezonu, mającego stać się nowym otwarciem dla placówki.

Jak zapowiada program, w tej wyjątkowej scenerii mają ukazać się „postacie różne, osobliwe, choć wszystkie nieprawdziwe”. Pierwsza z nich to pełen powagi i godności Majordomus w wykonaniu Zbigniewa Koźmińskiego. Ceremonialnie ustawia krzesło i stół, przygotowując miejsce dla swego pana – żeby nie było, prawdziwego Barona. Grający go Artur Borkowski to wzorowe wcielenie klasowego narcyzmu. Leniwie wdrapuje się na balustradę, rozgląda się dookoła i, drapiąc pierś, celebrytuje własne zblazowanie i wszechobojętność. W tym samym czasie okna budynku otwierają się niczym stare muzyczne szkatułki, czy też drzwiczki animowanych zegarów ratuszowych. Odślaniają przed nami potajemne, w tym również erotyczne, scenki z życia domowników.

Na *Los Mimos*, jak to nieraz się zdarza z kreacjami zbiorowymi, składa się ciąg niekoniecznie powiązanych ze sobą wyraźną logiką dramaturgiczną etiud. W tym akurat przypadku, ponieważ akcja toczy się w kilku miejscach naraz, nakładających się na siebie nawzajem i aktywnie konkurujących o uwagę widza. Tu Szalony Ogrodnik (Jan Kochanowski), jak na wzorowego mima przystało, pielęgnuje krzewy za pomocą całego zestawu niewidzialnych narzędzi, tam Ołowiany Żołnierz (Mariusz Sikorski) próbuje uwolnić się z zapętlonego w nieskończoność algorytmu wojskowej musztry. Nie obchodzi się, rzecz jasna, bez tradycyjnych intryg. Raczej farsowych niż melodramatycznych. Wystarczy kilka rzuconych sobie nawzajem spojrzeń, żeby między bohaterami natchmianem zawiązał się trójkąt miłosny, niechybnie doprowadzający do pojedynku obrazzonych kochanków. Niekiedy z efektami *slow motion*. Całość zaś balansuje gdzieś pomiędzy barokową sielanką a zestawem pomniejszych szaleństw indywidualnych, które z pojawieniem się Rzeźniczki (wyjątkowo zabawna Agnieszka Charkot) zsumują się w taneczne szaleństwo zbiorowe, zombie-lambadę, z całkiem już montypythonowską wisienką na torcie w postaci rewolty baletowej pary wieśniaków.

Lekkość tego wszystkiego sprawia, że większość bohaterów *Los Mimos* do samego końca pozostaje dla nas zaledwie uogólnionymi figurami. Powidokami epoki, których losem doprawdy trudno się przejąć. Dowodem na to



fot. Natalia Kabanow

Los Mimos, kreacja zbiorowa, Wrocławski Teatr Pantomimy im. Henryka Tomaszewskiego (2020)

znacznie żywsza reakcja zebranych na nieoczekiwane pojawienie się Polityka-hipokryty (Paulina Józwin) w nienagannym garniturze. Wjeżdża na eleganckim czarnym audi i zanim przemówi, składa dłonie w akuratną życzkę. To akurat jedna z tych postaci, które tak dobrze znamy z rzeczywistości medialnej. Dlatego też z większym zaangażowaniem śledzimy, jak doszczętnie rozbraja ją i uwodzi Arlekin Współczesny, czyli Miłość Tańcząca. Wprost stworzony do tej roli Eloy Moreno Gallego kusi biurokratę, odkrywając przed nim coraz to nowe widoki na rozległy kraj zmysłowych przyjemności. Szkoda, że cała ta wyprawa w rejony prawomocności obyczajowych tabu wygląda na małą tęczową przypinkę na osiemnastowiecznej liberii.

Skoro już jesteśmy przy ubiorach i uniformach, wypadałoby wspomnieć o zaprojektowanych przez Małgorzatę Bulandę kostiumach. Są wyraziste, kolorowe i odpowiednio stylizowane. Mają się podobać i cieszyć oko. Szkoda, że będąc atutem wizualnej strony spektaklu, utrudniają jednocześnie odbiór charakterystycznych dla teatru pantomimy popisów warsztatowych. Trudno docenić precyzję i amplitudę ruchów, kiedy gubią się one między fałdami długich sukienek, czy też w workowatych łachmanach przedstawicieli lokalnego plebsu. W *Los Mimos* obraz w ogóle nazbyt często dominuje nad choreografią. Chciałoby się, żeby efektowne wizualnie rozwiązania równoważyły te, podczas których czujemy charakterystyczne „mrowienie” neuronów lustrzanych, towarzyszące oglądaniu możliwości wyćwiczonego ludzkiego ciała.

Czego natomiast w przedstawieniu nie zabrakło, to niewymagającej dłuższych wyjaśnień klamry. W trakcie krótkiego prologu czy swojej gitarowej uwertury stajemy się świadkami złowieszczonego rytuału przeprowadzanego przez piątkę tajemniczych osobników w czarnych togach i dziobatych maskach doktorów plagi. W programie nazwano ich Pięcioma Mnichami od zarazy. Przypominają stado olbrzymich kruków, które, jak się domyślamy, będzie odtąd krążyło nad beztroską rzeczywistością świata przedstawionego. Niechybnie powrócą. Tylko że tym razem bez skrępowania zapuszczą się w pomieszczenia zabytkowego pałacyku, gdzie przed chwilą ukryli się jego mieszkańcy.

Kontekst czyhającej nad mikrokosmosem scenicznym katastrofy może budzić skojarzenia z *Dekameronem* Giovanniego Boccaccia, w którym szlachetnie urodzeni florentczycy, chroniąc się od zarazy, spędzają czas na opowiadaniu sobie krótkich, pouczających historyjek. Upierałbym się jednak, że podobieństwa są raczej mylące. Jeżeli włoski klasyk w swojej wersji *Tysiąca i jednej nocy* opiewa rodzące się podstawy światopoglądu renesansowego, z jego wiarą w nieskrępowaną potęgę życia, wrocławskie przedstawienie wydaje się być naznaczone melancholią, przesytem i chęcią ucieczki. Świetnym tego przykładem zjawiskowo piękna Baronowa Izabeli Cześniewicz. Ciągłe przebywanie w jakimś somnambulicznym transie, a każda jej przygoda podszyta jest poczuciem niespełnienia. Jej córki (Agnieszka Dziewa i Sandra Kromer-Gorzelewska) to dwie przyszłe Alicje, które półświado-

mie rozglądają się za białym królikiem i krainą po drugiej stronie lustra. Młodsza z nich chyba znalazła do niej kluczyk w postaci maski papugi, którą bawi się, nie zwracając na pozostałych najmniejszej uwagi.

Niestety, wszystko to, jeżeli nawet i potrafi zahipnotyzować, to jedynie przez chwilę. Czar pryska, kiedy nadchodzi czas na kolejną nieskomplikowaną i niezbyt oryginalną miniaturę, której zakończenie wcale nietrudno odgadnąć. Być może najlepiej byłoby w ogóle zrezygnować z prób opowiadania czegokolwiek i raczyć widza samą magią formy? Sprzyjałaby temu towarzysząca przedstawieniu muzyka barokowa wymieszana z fragmentami granymi na żywo przez Szymona Tomczyka. Zamiast tego *Los Mimos* nie da się potraktować inaczej niż towarzyskie zaproszenie do wspólnego spędzenia jednego z ostatnich ciepłych wieczorów uciekającego lata. Czy warto było z niego skorzystać? Z pewnością. Ale po nim jeszcze bardziej czekam na *Burzę* Szekspira w reżyserii Piotra Cieplaka. Premiera zaplanowana na początek listopada. I niech to będzie – nomen omen – prawdziwa burza. Jak jesień, to jesień. ■

Wrocławski Teatr Pantomimy
im. Henryka Tomaszewskiego
Los Mimos

kreacja zbiorowa zespołu aktorskiego
opieka artystyczna, opracowanie
muzyczne Leszek Bzdyl
premiera 4 września 2020